

nr 10 (122)  
październik 2001  
cena 7,00 zł  
w tym 7% VAT

**TYLKO**

# ROCK

MAGAZYN MIEJSCOWO KULTURALNY

ISSN 1230-2317 Nr INDEKSU 378704

# T.Love



T.Love foto: Piotr Bolek

**Tool**  
**O.N.A.**

**The Cranberries**  
**Ich Troje**

ISSN 1230-2317

10 >



9 771230 231007

## TYLKO ROCK

MAGAZYN NIE TYLKO POPKULTURALNY

### W NASTĘPNYM NUMERZE

Hey  
Elton John  
Titiyo  
Incubus  
Legendary Pink Dots  
Małgorzata Ostrowska  
Therion

- 7** świeży krem
- 21** rozmowy kontrolowane  
TOM ARAYA (SLAYER)
- 22** THE CRANBERRIES
- 26** T. LOVE
- 30** O.N.A.
- 34** LACRIMOSA
- 36** szał niebieskich ciał  
A CAMP
- 38** przestuchanie  
MICHAŁ WIŚNIEWSKI (ICH TROJE)
- 40** living in the material world  
DŻEJ DŻEJ (BIG CYC)
- 42** kult jednostki  
TOOL
- 43** w dziesiątkę  
QUEEN
- 45** pięści w kieszeni
- 82** techniczna ekstaza
- 83** na całość  
Henryk Romanowski



foto: Universal



foto: Grzegorz Kszczorek



foto: Sebastian Skąski/Sony

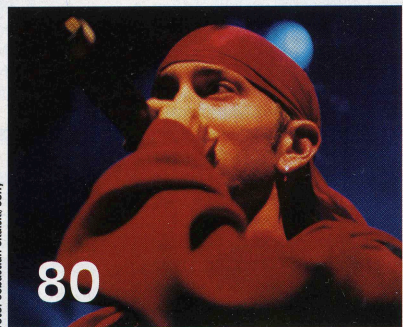


foto: Bartek Kozłowski

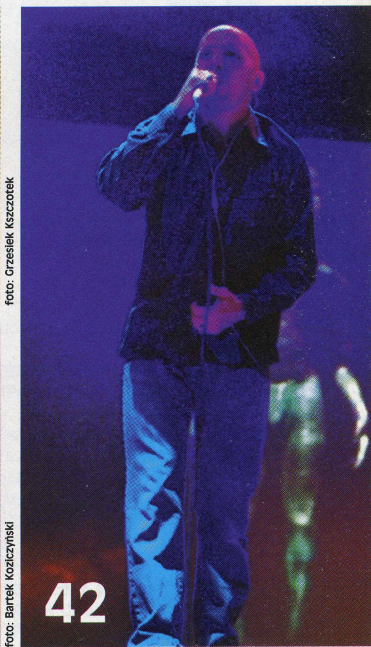


foto: Grzegorz Kszczorek



foto: Universal

## dziwny sen



**Jak się wie, czego się chce, to zdanie innych można mieć gdzieś, pracować i cierpliwie czekać na efekty. The Cranberries nie należą do zespołów, którym wszystko od razu łatwo przyszło. Nawet nazwa stopniowo ewoluowała – od mocno awangardowej The Cranberry Saw Us przez The Cranberry's aż do tej ostatecznej. Ale też kiedy wszystko zaczęło już działać, kiedy wspięli się na szczyt, potrafili w ostatniej chwili przystopować. Wiadomo, mocny irlandzki charakter... I mocna irlandzka kawa.**

## zaiskrzyło

Także pod względem muzycznym zespół rozpędzał się powoli – ani jego pierwsze nagrania, ani debiutancki album z początku nie wzbudziły specjalnego zainteresowania. Kolejek w sklepach muzycznych nie zanotowano. Przez jakiś czas krystalizował się też skład, co niby jest oczywiste. Ale wokalistka Dolores O'Riordan, bez której dziś trudno sobie wyobrazić The Cranberries, nie miała nic wspólnego z początkami zespołu. Polecił ją pierwszy frontman, Niall Quinn, który w 1990 roku poczuł się znudzony współpracą z Noelem i Mikiem Hoganami, gitarzystą i basistą grupy. Znudzził się dość szybko, bo kapela powstała raptem rok wcześniej i nie zdążyła jeszcze zaliczyć choćby symbolicznego debiutu fonograficznego. Quinn postanowił iść swoją ścieżką, ale powiedział, że jego dziewczyna ma koleżankę, która śpiewa i pisze teksty – warto by ją zaprosić na próbę. Zaprosili i... **W chwili, gdy zaczęła śpiewać, wiedzieliśmy, że to jest to** – wspomina perkusista Fergal Lawler. **Coś się zaczęło dziać... Zaiskrzyło...** Taaa, to była ta bardziej romantyczna wersja. Podobno Hoganowie i Lawler zamieścili po prostu ogłoszenie w gazecie, z którego wynikało, że poszukują wokalistki. Wokalistka też szukała zespołu, ale bez specjalnej desperacji. **Nie było ciśnienia, żeby znaleźć pracę** – mówi Dolores. **Ciągle jeszcze się uczyłam, to nie był jeszcze ten etap, kiedy trzeba dokonywać jakichś dramatycznych życiowych wyborów.** Więc na zupełnym luzie Dolores przekonywała chłopaków do siebie, pisząc nowe teksty i nowe linie wokalne do utworów ze starych demo-tek. W taki właśnie sposób powstał **Linger**, jak się później okaże, pierwszy przebój The Cranberries. Po tym, jak ten utwór zaśpiewała Dolores, Noel Hogan sam się zdziwił, że jest takim zdolnym kompozytorem.

## dzień dobry i do widzenia

**Linger** znalazł się obok kilku innych kawałków na taśmie demo **Nothing Left At All**, która tym się różniła od przeciętnych demo-tek, że trafiła do sklepów. Oczywiście tylko w Irlandii. Oczywiście nie było mowy o jakimkolwiek sukcesie komercyjnym – poszło raptem 300 egzemplarzy. Zapewne kupili je ci, którzy trafili na koncerty The Cranberries. Pierwszy występ, więc historyczny, odbył się w małym klubie Ruby's we wrześniu 1990 roku. Oczywiście w Limerick – niedużym portowym mieście w południowo-zachodniej Irlandii, w którym narodził się zespół i wszyscy jego muzycy. Wreszcie The Cranberries zrobili z materiałem demo to, co zrobić powinni – rozestali go po firmach płytowych. Pierwszy muzyką Irlandczyków zainteresował się Pearse Gilmore z niewielkiej wytwórni Xeric, zaproponował zespołowi opiekę menażerską. Dla The Cranberries oznaczało to olbrzymi sukces, zwłaszcza, że Dolores i jej koledzy byli jeszcze wówczas nastolatkami. Ale pan Gilmore nie był zbyt dobrym panem. Teraz jego nazwisko nie pojawia się nawet w oficjalnej biografii zespołu, która od razu instaluje The Cranberries w dobrze znanej firmie Island. Czym też nieszczęsny Pearse tak się naraził? No za dużo sobie wyobrażał, za bardzo i za głęboko się wchrzaniał – i to w kwestie czy-

sto muzyczne. Konflikt osiągnął apogeum podczas pracy nad materiałem na debiutancką płytę. Gilmore (choć sam muzyk, wokalista grupy Private World) prezentował typowo menażerskie myślenie – a niechaj ci moi podopieczni grają to, co jest właśnie na topie! Niech się nie boją industrialnej gitarki oraz mocnych tanecznych beatów! Ale podopieczni się ball i z Gilmore'em się rozstali.

## ironia losu

**Zanim skończyłam szkołę, miałam już podpisany kontrakt na sześć płyt!** – Dolores dobrze pamięta swoją radość z 1991 roku. Negocjacje z Island trwały kilka miesięcy, ale gra wydawała się warta zachodu, chociaż ponoć i inne koncerty były zainteresowane zespołem. Na razie The Cranberries zyskali tyle, że ruszyli się ze swojego Limerick i zaczęli grać koncerty w całej Wielkiej Brytanii. Nie było mowy o żadnej świetnie zorganizowanej, regularnej trasie. Mowa była o małych klubach, o przedostawaniu się ze sceny do garderoby przez tłumek fanów, o graniu w czyichś domach doraźnie przerabianych na salki koncertowe, o garderobach, które zespół dzielił się szczurami. No taka bardziej szkoła życia, dzięki której Dolores i jej kumple tym pełniej docenią przyszłe sukcesy. Na razie musieli się cieszyć ze swojej pierwszej, czteroutworowej płytki **Uncertain**. Może „niepewny” tytuł zraził potencjalnych nabywców, w każdym razie **Uncertain** na pewno nie była jeszcze żadnym „przyszłym sukcesem”.

Kolejny, tym razem 1992 rok, upłynął na graniu koncertów i mozolnym przygotowywaniu debiutanckiego albumu – mozolnym, bo w kilku podejściach, z różnymi producentami. Wspomniany Pearse Gilmore się nie sprawdził. Kilka miesięcy później zastąpił go Stephen Street, znany ze współpracy z The Smiths. Jemu poszło o wiele lepiej, czego dowodem debiutancki album **Everyone Is Doing It, So Why Can't We?** Tytuł znów nie powala pewnością siebie. Brzmi jak desperacki doping, konkluzja burzliwej rozmowy na temat: czemu nam się ciągle nie udaje?! No, nie wiem czemu, ale ciągle jest średnio – we wrześniu pierwszy singiel **Dreams** i nic. Piosenka pałęta się po dolnych partiach pierwszej setki list przebojów. Ale recenzje już lepsze. Podobnie można podsumować obecność na rynku drugiego singla – **Linger**. No i jak tu się spodziewać, że **Everyone Is Doing It, So Why Can't We?** zdziała cokolwiek przy tak mizernym singlowym wsparciu? Płyta trafia do sklepów w marcu 1993 roku i jej dzieje są dość dziwne. Na początku mizerniutko, a rok później numer jeden w Wielkiej Brytanii. Minie kolejnych kilka lat i liczba sprzedanych egzemplarzy **Everyone** sięgnie siedmiu milionów. Co się stało? Dlaczego tak nie mogło być od początku? Zła promocja? Niedojrzała publiczność? Może po prostu brak farta. Za punkt przelomowy w historii The Cranberries uznaje się wyjazd zespołu do Stanów i niespodziewany sukces, jaki tam odnieśli. Że co, że niby nasi podobają się za wielką wodą, to i my naszych wreszcie polubimy? Może na macierzystych Wyspach zadziałał właśnie taki prosty mechanizm. A swoją drogą to jakaś ironia losu, że mało znany zespół z jakiegoś Limerick został

tak dobrze przyjęty na amerykańskim, trudnym i hermetycznym rynku. Singiel **Linger** i debiutancki album wdrapały się tam do pierwszej dziesiątki, The Cranberries zagrali sporo koncertów w wypełnionych bożeg salach.

## miłość i brawura

W Stanach The Cranberries zetknęli się między innymi z... Duran Duran. Dla Dolores O'Riordan było to szczególnie doniosłe wydarzenie – co prawda to nie muzycy wpadli jej w oko, ale ich menażer koncertowy Don Burton. **To jest facet dla mnie** – pomyślała, ale mózg jej się nie zagotował. Po powrocie z USA grzecznie ruszyła z kolegami w europejską trasę. Zaczęło się dziać, nie było czasu do stracenia.

Materiał na drugi album powstawał w przerwach między koncertami. The Cranberries zaczęły go przygotowywać już na początku 1993 roku. Do studia weszli dopiero rok później – z tym samym, wypróbowanym producentem, Stephenem Streetem. O ile kwestie artystyczne wydawały się już uporządkowane, to niemiłe niespodzianki na innych polach nie omijały The Cranberries. Dolores przypłaciła rozrywkowy wypad na narty poważną kontuzją – przy naprawie prawej nogi wokalistki chirurdzy musieli współpracować ze ślusarzami. Bez śrubek nie dało rady. Ale dzielna Irlandka już kilka miesięcy później, w lipcu 1994, stanęła na ślubnym kobiercu u boku wspomnianego Dona Burтона, po czym państwo młodzi ruszyli w podróż poślubną. Niby normalna sprawa, ale biorąc pod uwagę napięty program zajęć ludzi, którym udało się coś poważnego zdziałać w biznesie muzycznym, miesiąc miodowy to większy sukces niż sprzedaż kilku milionów płyt. Na szczęście chłopaki z zespołu nie byli zazdrośni, tylko też zaczęli poświęcać więcej czasu na życie prywatne. I bardzo dobrze, bo za chwilę ta beztroška sielanka się skończy.





foto: Universal



## → a gdzie zupka?

Utwór *Zombie* i promowany z jego pomocą album *No Need To Argue* zapewnią The Cranberries wyjątkowo gorącą jesień i dadzą zajęcie na cały kolejny rok. Walczący, mocno upolityczniony *Zombie* stał się według MTV klipem numer jeden 1994 roku. *No Need To Argue* kupiło ponad szesnaście milionów fanów. W sumie dziwne, że tak ogromną popularnością cieszył się drugi – więc uznawany zwykle za najtrudniejszy, bo mający za zadanie przynajmniej dorównać debiutowi – album. Tu nie ma miej-

sca na żadne tłumaczenia ani doszukiwanie się przyczyn. Tak po prostu wyszło, tak miało być.

Od tej pory dla The Cranberries występy w wyjątek, tylko reguła. Nie ma szurów w garderobie, państwo grają na poważnych obiektach. Zaczyna się światowa trasa promująca *No Need To Argue* – w 1995 roku Irlandczycy i Irlandka zagrają w wielu krajach Europy, w Ameryce Północnej, w Meksyku, Japonii, Nowej Zelandii, Australii... Życie zamienia się z radosnej improwizacji w rozpisany godziną po godzinie plan zajęć. Na dobrą sprawę nie ma czasu, by na chwilę zwolnić i zorientować się, co jest w ogóle grane. **Tak naprawdę byliśmy w tym wszystkim kompletnie zagubieni** – przyznaje Dolores. **W czasie, gdy nasz zespół osiągał szczyty popularności, nie potrafilimy się z tego w pełni cieszyć. Właściwie wszystko, na czym nam zależało, to upić się elegancko po zejściu ze sceny. Nawet nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt wiele. Wszystko działo się tak szybko i w tak wielu miejscach, że zespołowi do dziś tamten czas wydaje się dziwnym snem. Snem, po którym trudno wrócić do rzeczywistości. Kiedy stajesz się naprawdę sławny, jesteś otaczany taką opieką, że masz wrażenie, iż są ludzie, którzy mają za ciebie myśleć** – mówi Dolores. **Ludzie którzy mówią za ciebie, którzy się wszystkim zajmują... A potem, kiedy wracasz do domu, dzwisz się, dlaczego na stole nie czeka na ciebie gorący obiad.** No i proszę, jak łatwo wpaść w paranoję.

## pogłoski

Po trasie kilka zasłużonych tygodni wolnego. Ale w październiku 1995 roku zaczęły się już przygotowania do zrealizowania trzeciego albumu, czyli mimo wielkiego ciśnienia, jakie panowało podczas trasy, Dolores i Noel wykoili trochę czasu na pisanie nowych rzeczy. Tylko że to ciągle podgrzewanie atmosfery wokół i

## kapcie i scena

W październiku 1996 roku zapadła decyzja o przerwaniu trasy koncertowej. Trochę w tym pomogła kontuzja Dolores (nadwyrężyła wcześniej uszkodzoną nogę), jaką odniosła podczas jednego z występów. Ale przede wszystkim chodziło o totalne zmęczenie i graniem, i sobą. The Cranberries mieli na tyle zdrowego rozsądku, by przystopować, zanim się zleniawidzą – przewidywali, że taki tryb życia i pracy może w końcu doprowadzić do bezpowrotnego rozpadu zespołu. Zaczęli się więc zajmować wszystkim, co ich bawiło – prócz muzyki. Trochę jak świeżo upieczeni bezrobotni z jakimś tam oszczędnościami w zapasie, trochę jak bogaci emeryci. Dolores wybrała wakacje na Karaibach, Fergal ze swoją dziewczyną ruszył na Daleki Wschód, Mike przeniósł się do Manchesteru, żeby mieć bliżej do stadionów, na których zawsze odbywają się ciekawe mecze piłkarskie, a Noel z żoną wrócili na stare śmiecie, by otworzyć restaurację i bawić się jej prowadzeniem. W życiu prywatnym wcale nie unikali siebie nawzajem. Spotykali się w święta, na sylwestra, potem na ślubie Fergala. Życie prywatne stało się absolutnym priorytetem. W 1997 roku pracowali ze sobą tylko raz – na prośbę Micka Fleetwooda przygotowali jeden utwór na płytę z przeróbkami piosenek Fleetwood Mac. Pod koniec roku czuli się już na tyle odświeżeni, że zaczęli tęsknić za graniem – obyło się nawet kilka obiecujących prób. Ale nie było mowy o narzucaniu sobie jakiegось stresogennego systemu działania – Dolores była w ciąży. Jej synek Taylor Baxter Burton przyszedł na świat w listopadzie 1997.

*Bury The Hatchet*, czwarty album The Cranberries, powstał bardzo powoli, z przerwami, w różnych miejscach – Kanada, Irlandia i wreszcie Francja, gdzie od maja 1998 w Chate-

au Miravel zaczęło się poważne nagrywanie. Tym razem z zespołem współpracował Benedict Fenner (nagrywał z Brianem Eno, Elvisem Costello, Laurie Anderson). The Cranberries dobrze zrobiła długa przerwa – poczuli entuzjazm jak za dawnych czasów. Zatemknili nawet za graniem koncertów, ale ich powrót na scenę był dosyć dziwny – zagraли w ramach grudniowych uroczystości wręczenia nagród Nobla. Wyfrakowana publiczność zachowywała się jak w filharmonii...

Prawdziwy come back nastąpił w kwietniu 1999 – *Bury The Hatchet* trafił do sklepów, The Cranberries wrócili na okładki pism muzycznych, w najbliższych planach regularna międzynarodowa trasa. 23 kraje, 90 miast – skończyli w lipcu 2000. I znów – jak podczas przygotowywania i nagrywania materiału – nie było mowy o niezdrowym ciśnieniu. Zwłaszcza, że rodzili się kolejni potomkowie muzyków The Cranberries – to chyba jeden z najbardziej prodominnych zespołów na świecie. Patrząc na sukcesy kolegów, Dolores zmobilizowała męża Dona – ich drugie dziecko, córeczka Molly, urodzi się pod koniec stycznia 2001 roku. Ciąży Dolores znów trochę przeczekała harmonogram zajęć zespołu, ale nie przeszkadzała w przygotowywaniu materiału na piątą już album. W dwutysięcznym powstała mniej więcej połowa piosenek – resztę zespół dokończy wiosną 2001. Potem mała podróż promocyjna po Stanach i Kanadzie – The Cranberries grają kilka akustycznych, kameralnych koncertów. Jesienią ma się odbyć już całkiem poważna trasa. W końcu trzeba promować nowe dzieło – nagrane ze starym producentem Stephenem Streetem – zatytułowane *Wake Up And Smell The Coffee*. No właśnie – poranna kawa, płatki kukurydziane, planowanie trasy, rozmowy o zabkowaniu, trochę na scenie, trochę w kapiach, trochę w studiu, trochę w domowym

## NAJLEPSZEGO!

Dolores Mary O'Riordan Burton urodziła się w Limerick w Irlandii 6 września 1971 roku. Co oznacza, że właśnie stuknęła jej trzydziestka. W dniu swoich urodzin wokalistka The Cranberries umieściła na oficjalnej stronie internetowej list do fanów. Oto jego fragmenty:

*Och, jest tak fajnie być tu dzisiaj razem z moimi dziećkami, rodziną i przyjaciółmi. Don kupił mi całą masę kwiatów i baloników, a w dodatku małą bransoletkę. Wiecie, to niesamowite, ale teraz, kiedy mam trzydziecie, czuję się młodziej, niż gdy miałam dwadzieścia lat. W tamtych czasach i przez następnych kilka lat ciężko pracowałam, czułam się starsza i bardziej zestresowana. Teraz mam wrażenie, jakby wszystko zaczynało się od nowa, jakbym ruszała w zupełnie nieprzewidywalną podróż.*

*Jutro o 8.30 odpalamy do Mediolanu, potem do Verony, do Zurychu... Z jednej strony nie mogę się doczekać, a z drugiej tak się cieszę, że „obudziłam się i poczułam zapach kawy”, że spędziłam moje urodziny u boku moich najbliższych i najukochańszych. O to w życiu chodzi – trochę radości to podstawa. Wypijcie za moje zdrowie! (ts)*

przedszkolu. Może nie ma w tym zbyt wiele rock'n'rolla, jest za to dobre samopoczucie wynikające ze świadomości, że udało się zaplanować nad własnym życiem. Że znalazło się w sobie tyle siły i woli, by nie oddać się bez reszty w łapy muzycznego biznesu. **Nigdy nie byliśmy tak spokojni jak teraz** – mówi Dolores. **Zdążyliśmy już sobie udowodnić kilka rzeczy. Piosenki z naszej nowej płyty zdają się mówić: przestań się zamartwiać tym, co będzie jutro, za tydzień, za rok, gdy wokół jest tyle piękna. Tylko trzeba nauczyć się je zauważać.**

Idę się rozejrzeć.

IGOR STEFANOWICZ

foto: Universal

## BARYKADY Z JAGÓDEK

Pochodzą z takiego kraju, że raczej nie wypada im mówić: *przepraszamy, polityka nas nie interesuje*. W kraju, w którym katolicki klerowca lubi przejechać protestanckie dziecko (albo na odwrót z tymi wyznaniem) nie można śpiewać wyłącznie o miłosnych rozczarowaniach czy bani danej w sobotę. We wspólnym i przejmującym *Zombie* Dolores w bardzo poetycki sposób porusza problem niekończącego się od dziesięcioleci konfliktu w Irlandii. Oczywiście nie opowiada się po żadnej ze stron. Opowiada za to o przemocy, która rodzi ciszę, o tym, że jak zwykle nie ma winnych, a przecież ktoś obsługuje te czolgi, ktoś odpala te bomby. Kto? Zaślepieni nienawiścią zombies.

Dolores obchodzi nie tylko nieszczęścia jej własnej ojczyzny. Jest uczulona na bezsensowną przemoc bez względu na skalę i miejsce akcji. Wojna w byłej Jugosławii zainspirowała ją do napisania tekstu *Bosnia. Pewnie, że wszystko może się zmienić, jeżeli tylko będziemy chcieli/ Dzieci już nigdy więcej nie będą się bały...* – trudno powiedzieć, czy w tych słowach jest więcej naiwnej wiary w zwycięstwo dobra czy też może gorzkiej ironii. Albo *Free To Decide* – wiadomo, wolność wyboru. W tym tekście Dolores chodzi raczej o każde nasze małe życie niż o wolność narodów, choć przewija się temat wojny w Rosji, znów pojawia się Sarajewo. Z kolei w *War Child* nie mówi wprost czegoś w stylu „dzieci są biedne i niewinne, zostawcie je w spokoju”, tylko próbuje trafić do sumień dość przewrotną historią o weteranie wojny w Wietnamie, który jest teraz jednym z nowojorskich bezdomnych. Who's the loser now, eh? (ts)





**Elton John**  
Songs From The West Coast  
Mercury/Universal Polska  
★★★★★★★★★★

Stary dobry Elton John. Niby o każdym jego albumie można było tak powiedzieć. Ale to właśnie Songs From The West Coast – z płyt wydanych przez niego w ostatnich latach – wydaje się temu stwierdzeniu najbliższemu.

Przed wszystkim sporo tu fortepianu. Prawdziwie Eltonowego. Wystarczy posłuchać otwierających ten album The Emperor's New Clothes z filmu pod tym samym tytułem i Dark Diamond – w tym drugim dodatkowo rozbrzmiewa jeszcze harmonijka ustna (gościnnie Stevie Wonder). Latami siedemdziesiątymi pachnie to na kilometr. A gdy do tego dodać jeszcze świetny I Want Love (bardzo beatlesowski w podkładzie), wybrany zresztą na pierwszy singiel, gwiazdek przybywa jak grzybów po deszczu.

Mniej za to gitar. Przez lata ten pan zdążył nas już niestety przyzwyczaić do tego, że wychodzą mu piosenki coraz delikatniejsze. Jak nasyciona lekkim patosem Look Ma, No Hands albo naprawdę ładne American Triangle i Original Sin z delikatną gitarą (w końcu!) i smyczkami w tle. Nieco ostrzej robi się w Birds i Wasteland. W tej pierwszej jest coś z klimatu amerykańskiego Południa (bracia Robinsonowie z The Black Crowes wcale by się jej nie powstydzili). Druga jest bliższa rock'n'rolla spod znaku Jerry'ego Lee Lewisa – te hałaśliwe klawisze fortepianu...

Elton John twierdzi, że to jego najlepszy album od dwudziestu pięciu lat. Może i tak...

GRZESIEK KSZCZOTEK



**The Cranberries**  
Wake Up And Smell The Coffee  
MCA/Universal Poland  
★★★★★★★★★★

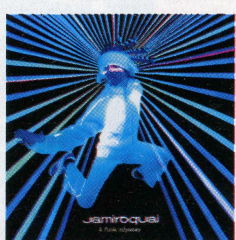
...

**Dobra, równa płyta z piosenkowym irlandzkim rockiem.**

Na dobrą sprawę chyba już każdy zna atuty The Cranberries – jednemu z nich na imię Dolores. Charakterystyczny głos, charakterystyczna maniera z folkowymi naleciałościami i tendencja do orgazmoidalnych powtórzeń końcówek wersów (najlepszym przykład to stary dobry Zombie). Teraz Dolores i jej trzej koledzy obudzili się (każde oddzielnie, we własnym domu rodzinnym) i poczuli zapach kawy. No, a co się potem robi? Buleczki smarują, generalnie spokojni, lekko nieprzytomni, ale uśmiechnięty poranek. Taki klimat ma sporo utworów z nowej płyty. Płyty równej w tym sensie, że na całej swej długości trzyma poziom, a co za tym idzie, trudno trafić na strzeliste rewelacje, nie ma też dotykających pomyłek. Płyty równej, bo nie zaskakuje właściwie niczym, gdy się ją zestawili z poprzednimi albumami The Cranberries. Niespodzianką może być chyba tylko duża ilość spokojnych, nastrojowych brzmień. Tak się ta płyta zaczyna – *Never Grow Old*. Tak się kończy – *Chocolate Brown*, gitary akustyczne, fortepian. Wśród nieco mocniejszych utworów znalazł się singlowy *Analyse* z początkiem przypominającym mocno *Losing My Religion* R.E.M. ze względu na gitarową melodię. Ale przecież nawet *Analyse* jest śniadaniowy. Więcej zdecydowania i trochę ryzykownych dźwięków słychać w *This Is The Day*. Zadziorniejsze riffy pojawiają się też w tytułowym *Wake Up And Smell The Coffee*, fakt, że po zasnym, ambientowym początku...

O rany, no mówię – dobra płyta z dobrymi piosenkami The Cranberries i tyle.

IGOR STEFANOWICZ



**Jamiroquai**  
A Funk Odyssey  
Sony Soho Square/Sony Polska  
★★★★★★★★★★

**Kolejna dobra płyta w znany styl.**

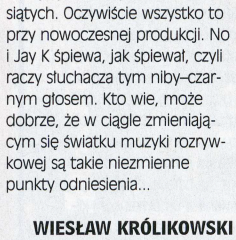
Rogaty człowieczek nie znalazł się tym razem na froncie okładki, ale na grzbiecie CD. Jednak Jay K ze swymi muzykami pozostaje na tym samym kursie co wcześniej. Jak na mój gust – nie ma jakichś istotnych różnic między poprzednim albumem *Synchronized*, a nową, płytą z kolei, płytą. Ale też przyznać muszę, że arty-

sta jakoś nie pogrążyła się w złej rutynie. Widać konwencja, którą sobie obrał, okazuje się niezłym samograjem. Albo po prostu pozwala mu być sobą. Dojrzał bez muzycznych zjadrad.

Specjalność Jaya K to zaangażowana muzyka taneczna, o ile tak można powiedzieć. Debiutancki dysk *Emergency On Planet Earth* był antywojenny i wieszczę! rewolucyjny, zaś w książeczce *Synchronized* rzucały się w oczy sympatyczne hasła: *Hoping we can live in peace until the year 3000*. *No More War On Planet Home!*, zresztą korespondujące z treścią poszczególnych utworów. W repertuarze najnowszego *Funk Odyssey* nie brak też narzekania na nowoczesność świata (*Twenty Zero One*) i zachwyty nad naturą (*Corner Of The Earth*), ale rzecz zaczyna się w jakimś kosmicznym porcie (*Feel So Good*). I zdarza się liderowi śpiewać prostu o miłości: *I don't want the world, I want you*. I tylko ironiczny tytuł musi wystąpić tym, którzy chcą wierzyć, że nie popadą tu w banal (*Love Foolosophy*). Ciekawe, że cała ta „odysėja” kończy się prośbą o radę, jak żyć (*Picture Of My Life*); może Jay K nie jest aż takim agitATOREM, jak wcześniej się zdawało...

A co do muzyki Jamiroquai: nadal jest faktycznie funkowo, z mocnym basem w podkładzie (*Feel So Good, Love Foolosophy, Stop Don't Panic*), nadal urozmaicają tu utwory z większą dawką elektronicznych brzmień (*Twenty Zero One*), a i nie obywa się bez latynoskiej domieszki rytmicznej (*Picture Of My Life*). Potwierdza się też – dostrzeżone już dawno temu przez anglosaskich recenzentów – artystyczne pokrewieństwo ze Steviem Wonderem (*Main Vein*) i w ogóle – związek z murzyńską muzyką soulową lat siedemdziesiątych. Oczywiście wszystko to przy nowoczesnej produkcji. No i Jay K śpiewa, jak śpiewał, czyli raczej słuchacza tym niby-czarnym głosem. Kto wie, może dobrze, że w ciągle zmieniającym się świecie muzyki rozrywkowej są takie niezmiennie punkty odniesienia...

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI



**Elbow**  
Asleep In The Back  
V2/BMG Poland  
★★★★★★★★★★

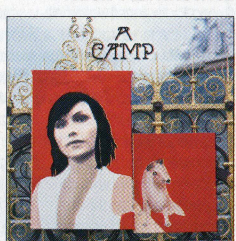
**Tajemnicza, stonowana, bar-**

...

**dzo oryginalna muzyka – podwodna i poetycka.**

Debiut kapeli z Manchesteru – nie takiej znów nowej, bo chłopaki grają ze sobą już ładnych parę lat. Ale tak to w tym biznesie bywa, że trzeba poczekać na swoją kolejkę. W każdym razie Elbow mieli czas, żeby popracować nad własnym stylem. Co im wyszło? Coś dziwnego i intrygującego. Na pewno nie jest to muzyka elektroniczna, choć trudno jej odmówić lekko ambientowego charakteru oraz triphopowych naleciałości (np. *Little Beast*). Perkusista gra dość monotonnie, czasem łąduje w bardzo dalekim tle (*Powder Blue*), nawet gęstsze rytmy sprawiają wrażenie zapełnionych. Na wierzchu jest śpiew Guya Graveya – dość tęskny i smutny. To on buduje melodię i dowodzi delikatnymi zmianami dynamiki. Na wierzchu są też dziwne, jakby podwodne dźwięki – gitara akustyczna, klawisze, smyki i co tam jeszcze. Czasem odzywa się zupełnie nieoczekiwany przesterowany konkret – patrz riffowe wejścia w *Bitten By The Tailfly* czy w *Coming Second*, jednym z bardziej wyrazistych, mniej rozmydlonych utworów. Zostaje wrażenie, że Elbow zostawia sobie sporo miejsca na improwizację. Taką brzmieniową, bo melodycznie i dynamicznie są to kawałki stosunkowo płaskie. Aha, ich granie bywa nazywane „progressywnym rockiem bez solówek”, ale nie bardzo rozumiem dlaczego...

IGOR STEFANOWICZ



**A Camp**  
A Camp  
Stockholm/Universal Polska  
★★★★★★★★★★

**Wokalistka The Cardigans ze swadą zaproponowała coś niekoniecznie dla ich fanów.**

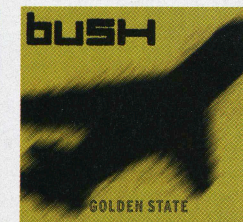
Na debiutanckim albumie szwedzkiej grupy The Cardigans, *Emmerdale* z 1994 roku, znalazła się wersja słynnego numeru Black Sabbath, *Sabbath Bloody Sabbath*; fagodna, będąca zgoła zaprzeczeniem oryginału, pasująca do własnego materiału grupy z tej płyty, który lokował się między wysmakowanym popem a pop rockiem. I tylko w głosie wokalistki, Ninny Persson, było to „coś”, co mogło naprawdę zwrócić uwagę – jakaś świeżość, naturalność.

Później The Cardigans wykazali jeszcze dobitniej swe możliwości w dziedzinie muzycznej konfekcji (która nie była tylko konfekcją), na płycie *First Band On The Moon* (z 1996 roku) spróbowali pokazać się od bardziej progresywnej i rockowej strony; zarazem jednak popisali się ewidentnie hitowym materiałem, w tym piosenką *Lovefool*, którą rozstał soundtrack filmu *Romeo i Julia*.

I oto Persson, pod szyldem A Camp, proponuje nam swój solowy album. Jest też głównym autorem repertuaru płyty, choć znalazła się tu tylko jedna jej autorska piosenka (*Algebra*). To, co powstało z pomocą producenta Marka Linkousa (także udzielającego się w tych nagraniach jako instrumentalista) może zaskakiwać (choć nie stanowi jakiejś nowej jakości w estradowym światku). Bo z jednej strony mamy tradycyjnie brzmiące, balladowe utwory (choćby *I Can Buy You; Elephant*), a także coś, co bliższe jest Fleetwood Mac z lat siedemdziesiątych (*The Bluest Eyes In Texas*). A z drugiej – jakieś poszukiwania, niekomercyjne ruchy i dowody artystycznych ambicji powyżej przeciętnej – jeśli chodzi o krag, z którym dotąd Persson była kojarzona. Od trochę udziwnionego country'owego brzmienia (*Angel Of Sadness*) poprzez nowoczesniejsze, ciekawsze aranżacje z pomysłowo zastosowanymi smyczkami (*Such A Bad Comedown*) po mocniejsze, obsesyjne granie spod znaku PJ Harvey albo Lou Reeda (*Hard As A Stone*) i undergroundowo-elektroniczne hałasy, klimat dopuszczający deformację partii wokalne (*The Oddness Of The Lord*). No i warto również odnotować obecność różnych dźwiękowych smaczków – poczynając od „dziwnych” dźwięków na koniec pierwszego numeru, *Frequent Flyer*.

W dodatku nagrania nie pozostawiają wątpliwości, iż mamy do czynienia z wokalistką nie tylko o przyjemnym głosie, ale też o znacznych możliwościach; Nina Persson świetnie wypada i w jazzowo-wyluzowanym śpiewie (*Such A Bad Comedown*), i w intymnych, ciepłych interpretacjach, kojarzących się z nurtem amerykańskich balladzystek sprzed lat (*Song For The Leftovers*). Przekonująca jest również jej wersja numeru Paula Westerberga, zaczerpniętego z dorobku „niezależnych” The Replacements, *Rock'n'Roll Ghost*. Ale mam wątpliwości, czy ta płyta pozwolił Ninie Persson unieależnić się od The Cardigans.

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI



**Bush**  
Golden State  
Atlantic/Warner Music Poland  
★★★★★★★★★★

**Kawał fajnego grania gitarowego – niby brytyjskiego, ale z ciężkimi amerykańskimi naleciałościami.**

# lekcja z U.S.A.

## Pytamy Dave'a Parsonsa (basistę Bush zresztą)

– Wczoraj cały świat ogłądał na żywo przerażające zdjęcia ze Stanów – transmisje z ataków terrorystycznych o niespotykanej dotąd skali. Nikt o niczym innym nie mówi. Kiedy spojrzę na tytuł nowej płyty Bush – *Golden State* – to zaraz pomyślę „Golden Gate”, „United States”, „George W. Bush”. No dobrze, ale źródła tego tytułu są pewnie trochę inne...

– Skojarzenie z *Golden Gate* jest o tyle na miejscu, że dotyczy zachodniego wybrzeża U.S.A. Nagrywaliśmy album w Londynie, ale mieszkaliśmy już w Los Angeles. Do tamtejszego studia codziennie dojeżdżaliśmy *Golden State Highway* – ta nazwa wbiła się w głowę zwłaszcza Gavinowi, nabrała dla niego symbolicznego znaczenia.

– Za produkcję *The Science Of Things*, waszej poprzedniej płyty, był odpowiedzialny przede wszystkim wasz frontman Gavin Rossdale. Dlaczego tym razem poszukaliście zewnętrznego producenta?

– Poprzednio próbowaliśmy podesejść do naszej muzyki bardziej eksperymentalnie – było więcej elektroniki, klawiszy, loopów. Fajne doswiadczenie, byliśmy zadowoleni, niczego nie żałujemy. Ale tym razem postanowiliśmy zawrócić w stronę rocka w gitarowej postaci. Po prostu gra czterech facetów. Pomyśleliśmy, że przydałby się producent, który z takiej prostej koncepcji potrafiłby wycisnąć coś niezwykłego. Dave Sardy produkował kilka płyt, które nam się bardzo podobają (np. Marilyn Manson, System Of A Down, The Dandy Warhols – przyp. is). Nigdy wcześniej nie pracowaliśmy z amerykańskim producentem i okazało się, że jest różnica – nie tylko w miejscu zameldowania. Dave potrafił się wczuć w nasze granie, odpowiednio dobrać i ustawić brzmienia. Spisał się fantastycznie. Nauczył nas nowego dla nas sposobu nagrywania – skupiał się na każdym najmniejszym detalu, zmuszał, byśmy solidnie pracowali nad każdym dźwiękiem. To jest

właśnie amerykański styl produkcji. Wcześniej zdarzało nam się zapominać o tym, że całość składa się ze szczegółów. Dostaliśmy niezłą lekcję.

– Artyści często mówią, że ich najnowszy album jest najlepszy w całym dorobku. Czasem to tylko promocja, czasem prawda. Co powiesz o *Golden State*?

– Rozumiem, że mnie przyblokował i nie mogę teraz powiedzieć, że jest najlepszy... Wiadomo, że człowiek najbardziej ekscytuje się tym, co nowe, co świeże, a nie tym, co gra już tysiące razy na koncertach. Dobra – mamy to szczęście, że każda z naszych czterech płyt jest inna, ma własny klimat. „Golden State” na pewno jest najcieńsza, najmocniejsza, najbardziej rockowa z nich.

– Czy podczas pisania materiału i nagrywania koledy z zespołu cię czymś zaskoczyli, pokazali się od strony, której dotąd nie znałeś?

– Nawet jeżeli nie mogę powiedzieć, że tak było, to nie znaczy, że nie robimy postępów. Do studia weszliśmy bardzo dobrze przygotowani – materiał szlifowaliśmy na próbach do upadłego. Przy poprzedniej płycie było podobnie, ale sposób komponowania wyglądał inaczej. Gavin sam zrobił demówkę i nasze zadanie polegało na dobrej sprawie na porządnym nagraniu wymyślonych przez niego dźwięków. Tym razem wróciłmy do zespołowego komponowania. Gavin przynosił teksty, riffy, ale cała reszta powstawała już wspólnymi siłami na próbach. Jeżeli pojawiały się ciekawa linia basu czy inny riff, Gavin zmieniał linię melodyczną, a nawet słowa. Nie traktował własnych pomysłów z jakąś niezdrową nabożnością, każdy z nas miał coś do powiedzenia.

– Podobno Gavin jest bardzo dumny ze spokojniejszych utworów – takich jak *Out Of This World*. Podzielisz jego zdanie?

– W sumie tak. „Out Of This World” ma stosunkowo prostą strukturę, a to pozwala wyeksponować

brzmienia, wczuć się w melodię. Ale wstrzymuję się jeszcze z deklarowaniem, które z nowych utworów najbardziej mi pasują. To wszystko się okaże dopiero na koncertach. Zobaczymy jak nam się gra na żywo poszczególne kawałki i jak są przyjmowane przez ludzi. Koncerty to znakomity poligon... Ale mam swoje typy – „Head Full Of Ghosts” na pewno zażre jak trzeba. Ma taką moc, że nie ma przebaczenia.

– Muzyczny świat zwykle opowiada się po stronie starszych. Widać to zresztą na waszym przykładzie – że wspomnę składankę *No Boundaries* wydaną z myślą o pomocy uchodźcom z Kosowa. Myślisz, że teraz grupa artystów zjednoczy się w poparcie dla U.S.A., zorganizuje jakiś antyterrorystyczny Live Aid?

– Może, trudno powiedzieć... Ale to delikatna sprawa. Do łączenia polityki z muzyką trzeba podchodzić bardzo ostrożnie. Weźmy na przykład to, co działo się ostatnimi czasami w Wielkiej Brytanii. Przez lata rządili prawicowi konserwatyści, wielu ludzi uciekło się, gdy wybory wygrała wreszcie Partia Pracy, pojawiła się nadzieja na zmiany. Sporo zespołów z Oasis na czele pospieszyło z gratulacjami na Downing Street, fetowało nadejście Blaira. Minął rok i okazało się, że Tony nie jest żadnym zbawcą, tylko kawałem łobuza... Każdy medal ma dwie strony, każda strona ma swoje racje. Na świecie dzieje się tak wiele różnych tragedii, tak wielu ludzi oczekuje pomocy... To co się stało w Ameryce, jest przerażające. Myślę, że wszyscy czujemy ogromny ciężar tego dnia, że każdy powinien podesejść do tej tragedii z ogromnym współczuciem i szacunkiem dla niewinnych ofiar. Na pewno ich rodzinom należy się wsparcie – być może muzyczny świat zorganizuje się, by im pomóc. Ale wspierać rząd, państwo amerykańskie w krucjacie przeciw terrorystom? Przyznasz, że to dziwny pomysł – nie te proporcje.

ROZMAWIAŁ: IGOR STEFANOWICZ